

JAROSŁAW
WOJCIECHOWSKI

V
CLAVUS

A painting of a hand, possibly a palm, with a wound on the wrist. The hand is rendered in shades of purple, pink, and red, with visible veins and muscles. A large, golden, three-dimensional letter 'V' is superimposed over the hand, and the word 'CLAVUS' is written in golden, three-dimensional letters across the palm. The background is a dark, textured blue.

Jarosław Wojciechowski

CLAVUS

© Copyright by Jarosław Wojciechowski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Roman Galiński

Konsultacja: Henryk Rumiński, Tadeusz Joachimiak

Redakcja i słowo wstępne: Bożena Laskowska.

ISBN 978-83-7859-038-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2012

Żadna część tej książki nie może być zapisana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny lub foniczny i w jakiegokolwiek innej formie bez uprzedniej zgody autora.

Słowo wstępne

„Spragniony byłem świata, jaki jej się przytrafił...”

Kiedy się ma do czynienia z twórcą takim, jak Jarosław Wojciechowski, człowiek nigdy nie wie, gdzie go słowa artysty zaprowadzą. Czytanie jego utworów to, jak sam lubi mówić, „jazda na maksa”. Dokąd więc teraz Jarek nas zabrał?

Fabula utworu jest niezwykle prosta. Opisuje spotkanie dwojga bliskich sobie osób. Z ich rozmowy nad kubkiem kawy wyłania się przed czytelnikiem świat, którego raczej się nie spodziewamy w tak prozaicznym miejscu, jak kuchnia. Bohaterka opowiada treść swojego niezwyklego snu, który wytrącił ją z równowagi, zadziwił, przeobraził wewnętrznie i pozostawił z całą masą niezadanych pytań. Z każdym jej słowem wizja staje się coraz dziwniejsza, coraz bardziej zaskakująca. Aż dochodzimy do momentu w opowieści, w którym następna przerwa na łyk kawy czy złapanie oddechu drażni niedopowiedzeniem.

Drugim bohaterem jest słuchacz – człowiek nastawiony na wewnętrzny odbiór przekazywanych mu rewelacji. Ma niezwykle ważne zadanie do spełnienia. Otrzymuje pewien dar – od jego reakcji zależy, czym się on stanie. Prezentem cennym czy

zakłóceniami w ciszy popołudniowego odpoczynku. Całą swoją postawą akcentuje, że jest gotowy na wypełnienie swojego obowiązku z należytą uwagą i przekonaniem, że oto trafiła mu się niezwykłość, gratka godna kolekcjonera opowieści. To jego reakcje na historię opowiedzianą przez towarzyszkę powodują, że sen staje się plastyczny, realny, godny uwiecznienia. To jego uczucia, emocje urzeczywistniają wymiar, do którego autor stara się czytelnika przenieść.

I na tym prostota fabuły się kończy, bo w książkach tego autora nic nie może być klarowne i jednowymiarowe.

Tematem tego utworu jest poszukiwanie, odnajdywanie i gubienie. Bohater wyznaczył nam kierunek: „*Świat otworzył mi się, świat wyobraźni i ducha, niczym wielka księga życia.*” Żeby zrozumieć tę książkę, czytelnik musi przekroczyć pewne granice, podążając za emocjami opisanych postaci. Musi wyobrazić sobie uniwersum, do którego zabiera nas jego sprawczyni. Nie jest to zadanie trudne, wystarczy uruchomić wyobraźnię i empatię.

Gdzie jest ten świat? Okazuje się, że całkiem niedaleko. Miejscem, które ogniskuje całą rzeczywistość, jest niewielka podwrocławska miejscowość Bobrowniki i ruiny zamku. W tym to punkcie dzieją się niezwykle wydarzenia wokół Clavusa – przedmiotu posiadającego własną osobowość. To jego poszukujemy, nastawiamy się na zrozumienie niezwykłości tego przedmiotu, czasem odnajdujemy ukryty w nim sens, a potem, co jest nieuchronne, gubimy go bezpowrotnie. A to wszystko dzieje się w miejscu niemalże magicznym, posiadającym niezwykle wibracje, sekretne komnaty, ukryte skarby i wszystko, co nosi w sobie znamiona wielkiej tajemnicy. Po tym wymiarze poruszamy się uwięzieni w ciele sokoła, który ptakiem bynajmniej nie jest. Obserwujemy mieszkańców zamku i gości do

niego przybywających. Podsluchujemy ich niedokończonych rozmów, próbując jednocześnie zrozumieć, co nam umknęło. Odwiedzamy przeszłość, czas świetności zamku. I w sposób nieuchronny gubimy wymiar rzeczywisty, by odwiedzić miejsca jeszcze dziwniejsze, nierealne, metafizyczne oczywiście przez autora niezdefiniowane. Bo nic w tej opowieści nie jest jednoznaczne i klarowne. Bo ta opowieść to kolejny flirt z wyobraźnią odbiorcy, który poruszając się w labiryncie metafor i symboli musi odnaleźć nieprostą drogę do zrozumienia, czego właściwie poszukuje, co gubi, a co odnajduje w otwartej księdze życia.

Książka Jarka to po raz kolejny opowieść uniwersalna. Akcja co prawda wyrasta z codzienności, ale autor przenosi czytelnika w czasy średniowiecza. I tak wędrując w wizji bohaterki, skaczemy między dwoma wymiarami czasoprzestrzeni, śledzimy świat dawny, by odnaleźć w nim wartości czasu współczesnego. Śledzimy poczynania bohaterów, by co jakiś czas mierzyć się z dygresjami komentującym współczesność tak dobrze i boleśnie nam znaną. Bo jak przekonuje nas artysta, zawsze jesteśmy „spragnieni” świata, który „przytrafia” się innym. A skoro tkwi w nas to pragnienie, trzeba zanurzyć się strumieniu „*świata wyobraźni i ducha*”. To tam ostatecznie odnajdziemy odpowiedzi naznaczeni piętrem Clavusa.

Bożena Laskowska

Rozdział 1

Niespodziewanie odwiedziła mnie dziś kuzynka Teresa.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby mnie uprzedziła telefonicznie, jak zawsze to robiła – kiedy i o której godzinie i czy przypadkiem jej wizyta w niczym mi nie przeszkodzi. Taka była – szczerza do bólu! Za co ją zresztą bardzo lubiłem, jak i za jej jeszcze inne zalety, o których opowiem przy innej okazji.

A więc tak – usłyszałem zamiast dzwonka pukanie i to bardzo nerwowe, energiczne, jakby ktoś chciał się szybko dostać do środka. Może uciekał przed kimś? – głupio sobie pomyślałem.

W pierwszej chwili nie wiedząc, któż za drzwiami stoi, przekląłem sobie dość siarczyście – kurwa! W końcu nie pamiętam, by ktoś tak mi się do drzwi dobijał. Żona w pracy, dzieci w pracy, to kto to? Cholera! No, kto? – na głos siebie pytałem. A właśnie akurat delektowałem się symfonią przeznaczenia Beethovena. Zawsze tak się działo ze mną, kiedy byłem sam – robiłem ucztę dla duszy. uczucie, którego nijak nie można było ignorować. No właśnie? A tu ktoś wali mi do drzwi, gdy już jestem prawie...

– Zaraz! Zaraz otwieram – krzyknąłem.

Głos (mój głos!) wcale mi się nie spodobał – był arogancki i niezbyt miły dla mnie samego, a cóż dopiero dla tego, który stał za drzwiami. No, ale za upadek z takiej... wysokości! Niech intruz mi zapłaci i kropka – wytłumaczyłem sobie szybko. Byłem usatysfakcjonowany rekompensatą, na jaką akurat było mnie stać. No właśnie– było mnie stać? Nic innego mi nie pozostało, jak ruszyć do drzwi.

Przekręciłem zamek chyba ze dwa razy. Energicznie otwierając drzwi, już miałem puścić swoje narzędzie kastracji (język!), na którym ustawił się oddział pretorian – samopas, gdy oczom moim ukazał się znajomy widok. Stała naprzeciwko mnie moja kuzynka Teresa.

Oczom moim od razu rzuciły się jej włosy. No, właśnie, włosy w każdą stronę sterczały, jakby szukały oparcia – choć krótkie ... A oczy niczym rozpalone węglaki spoglądały na mnie szybko. Staliśmy chwilę w milczeniu, na siebie patrząc – nim wzajemnie się odkryliśmy.

– Jak dobrze, że jesteś, jak dobrze! – wykrztusiła w końcu pierwsza. Może obawiała się, iż nie zechcę jej słuchać i zamknę drzwi przed nosem – może tak właśnie pomyślała, może? Bo ja sam chyba ciekawie to nie wyglądałem.

Przyznam, cała ta sytuacja zaskoczyła mnie na tyle, że nic się nie odzywałem, tylko odskoczyłem na bok, by mogła wejść do mieszkania. Zrobiła to bardzo szybko, niczym kotka łowna gotowa do akcji.

Muszę tu dodać, iż moja kuzynka to kobieta w średnim wieku – niczego sobie: krótkie blond włosy, szarozielone oczy, nogi, nie powiem, ale bardzo zgrabne i ten charakterystyczny dla mojej rodziny, jak i dla niektórych mieszkańców Bobrownik, tajemniczy uśmiech. Podobno towarzyszył nam, jak i nie-

którym mieszkańcom, od niepamiętnych czasów i nikt nie potrafił logicznie tego wytłumaczyć. Tak po prostu mieliśmy – dziedziczyliśmy po przodkach.

Odruchowo zamknąłem za nią drzwi – nie odzywając się, kiwnięciem głowy pokazałem jej kierunek, w który ma się udać – kuchnię.

No i siedzimy sobie naprzeciwko, milcząc. W końcu, gdy cisza dała mi się we znaki, wstałem, zrobiłem kilka okrążeń – do przodu i do tyłu, a że kuchnia nie za duża była, to pomysł na rozluźnienie szybko mi się skończył.

Najwyraźniej obserwowała mnie spod oka, bo usta lekko jej zadrgały, jakby chciała mi coś powiedzieć. A może tak mi się zdawało? Tego już się nie dowiem, bo pierwszy zacząłem mówić.

– Wiesz, Tereska, zaskoczony jestem tak nieoczekiwaną wizytą. Nie powiem, że jest mi niemiła – no, ale... No wiesz... Bym się jakoś ogarnął, gdybyś...

Nie odezwała się, tylko pokiwała głową, że się ze mną zgadza, lewą ręką wskazała mi krzesło, bym usiadł. No, to usiadłem, wlepiając wzrok w jej oczy. Zamrugowała nimi jakby do mnie, obdarowując przy tym uroczym uśmiechem, który bardzo lubiłem i westchnąwszy głęboko, przemówiła w końcu.

– Wiem, co chcesz mi powiedzieć, wiem, ale naprawdę nie mogłam inaczej, nie mogłam, bo...

Zawiesiła głos, jakby czegoś szukała w myślach, stukając nerwowo nogami pod stołem i zaczęła mówić dalej.

– Marek, sprawa jest wyjątkowa i delikatna, dlatego tak jakoś niezręcznie mi z tobą na ten temat rozmawiać, bo za bardzo sama nie wiem, od czego zacząć.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie, a raczej intrygująco, że moja ciekawość apetytu dostała nie na żarty. Widocznie zrobiłem dziwną minę, bo pogłaskała mnie po rękę z kilka razy, pozwalając mi na powrót do równowagi. Złapawszy azymut, zagadnąłem.

– Dobra, Teresa, spoko, mów, o co chodzi, a ja w tym czasie będę robił kawę albo herbatę, co sobie życzysz.

– Zrób mi kawę, bardzo, bardzo mocną . Ze szczególnym naciskiem na słowo „mocną” – powiedziała.

– No, to rozumiem! – skomentowałem głośno, najwyraźniej się rozluźniwszy.

– Wiesz, sam też mocnej się napiję – dodałem.

Zanim zaczęła mówić, stoczyła walkę z niesfornymi włosami, próbując je ogarnąć, a i tak bezkarnie sobie hasały.

– Ach! No tak! Czasami z tym uczesaniem tak bywa – skomentowała zmagania.

– To zaleję kawę, woda właśnie się gotowała – oznajmiłem, nie czekając na jej odpowiedź.

Wstałem i zalałem do filiżanek wrzątek, podając jedną filiżankę kuzynce.

– Cukier? – zapytałem.

– Nie, ostatnio nie słodzę – podkreśliła.

Gdy zalałem, zapachniało kawą w całej kuchni. Przyznam, iż lubię aromat kawy. Zawsze mnie szczególnie nastroja – uroczyście i wyjątkowo.

– No, to napijmy się łyżeczka – zachęciłem pierwszy, podnosząc filiżankę.

– O tak! Tak! – euforycznie wyraziła aplauz.

Podniosła swoją filiżankę i przyłożyła delikatnie do ust, delektując się każdą upitą porcją, po czym odstawiła ją na bok z krótkim komentarzem.

– Brakowało mi tego smaku i charakterystycznego aromatu.

Dodała jeszcze jako uzupełnienie.

– Naprawdę wyjątkowo dobra! Naprawdę, Marek!

Uśmiechnąłem się pod wąsem nie dlatego, że tak powiedziała, ale dlatego, że tak mocno zaakcentowała –naprawdę. W jej ustach brzmiało to wyjątkowo zabawnie.

Jednocześnie czułem pod skórą, że to, o czym mi chce opowiedzieć, będzie hicior nie lada! Że wiele w moim życiu zmieni – może nawet wszystko. Czułem jednocześnie, że już nic w nim nie będzie takie samo, jak do tej pory. No a ja być może będę już kimś zupełnie innym? Innym człowiekiem?

– Rany! Jakie myśli i przecucia we mnie – krzyknąłem na głos mimochodem.

Teresa spojrzała na mnie ze zrozumieniem, jakby przeczuwała – nie, jakby wiedziała, że tak zareaguję.

– No! Mój kuzynie, sam zresztą osądzisz! – proroczko skomentowała.

Zapadło milczenie – milczenie, w którym być może układała sobie wszystko to, co mi miała do powiedzenia, wszystko to, co stanowiło o tej wyjątkowości, którą przeczuwałem.

– Widzisz, Marek – ciągnąć zaczęła, jakby wypity łyk kawy odblokował ją. – Sądziłam, że nigdy z czymś takim... do ciebie nie przyjdę, bo niby, po co? Zresztą sama jeszcze za bardzo tego nie rozumiem. Tak, nie rozumiem, bo dowiedziałam się

o tej historii, gdy jeszcze mieszkałam w Bobrownikach i chyba miałam jakieś jedenaście lat. Czas dorastania, potem małżeństwo i macierzyństwo oddalił jego sens... Marek, przejdę już do sedna sprawy i sam się przekonasz o szczególności tej historii i nie tylko.

Spojrzałem na moją kuzynkę z jeszcze większą ciekawością, zastanawiając się, co jej po tej głowie chodzi. Moja ciekawość kazała mi się jej przyjrzeć jeszcze raz – dokładniej

Dostrzegłem, że włosy niby ma ułożone, ale jakieś takie rozchwiane w każdą stronę (może taka moda, choć nie wiem). Za to oczy nie tyle rozbiegane, ale rozpalone, jakby trawiła ją gorączka od środka – co najmniej czterdzieści pięć stopni. Ubrana niby elegancko, ale kilka szczegółów zdradzało szybkość, z jaką się ubierała. No, na przykład guziki od białej bluzeczki nie tak zapięte, poza tym nie była umalowana jak zazwyczaj. Po dokładnym zlustrowaniu – jak sądzę, zagadnąłem.

– Kochana moja kuzyneczko, cały zamieniam się w słuch. Takiej cię, przyznam, dawno, oj dawno nie widziałem – pokiwałem znacząco głową.

– No, pewnie, że nie – potwierdziła z całą stanowczością, od razu dodając. – Sama zresztą czuję, jak coś dziwnego ze mną się dzieje, niby nic a jednak...

Po tych słowach złapała się za głowę oburącz, przekręcając nią to w lewo, to w prawo, jakby chcąc sprawdzić, że ją posiada na swoim miejscu i nic złego z nią się nie dzieje. Upewniwszy się, że wszystko gra, mówiła dalej.

– Najlepiej jednak będzie, jak nie będę mówić o moich dziecięcych odkryciach, choć miałam taki zamiar, bo to, co chcę ci powiedzieć, jest rzeczywiste. Przytrafiło mi się naprawdę – tu

i teraz – i ma odniesienie do tych zasłyszanych historii w dzieciństwie.

– Więc tak, byłam u mamy w Bobrownikach kilka dni temu i niby nic takiego, a jednak? Bo coś mnie tam gnało nie tyle do mamy, co do Bobrownik, przyznam, od dłuższego czasu. Zaczęło się całkiem niewinnie, bo od snów – niby śniły mi się Bobrowniki takie same, a jednak inne i ludzie, których nie znałam, a którzy mnie znali. A to w głowie myśli upierdliwe – przyjeżdżaj, przyjeżdżaj i to jak najszybciej. Nie dawałam sobie z tym rady. Nawet chwilami myślałam, że coś ze mną nie tak się dzieje.

Zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie bystro, skanując każdy mój grymas. W końcu upewniwszy się, że słucham ją uważnie, mówiła dalej.

– Za którymś razem zmęczona i jednocześnie zachwycona nocnymi snami postanowiłam udać się do lekarza (specjalisty), by się rozpatrzył, co mi jest? Może skąd one się biorą, z jakich pokładów mojej jaźni wypływają?

– Wiesz, że nigdy w nosa nie wciągałam, a skręty dla mnie w ogóle nie istnieją!

– Tak! Wiem, Tereso, jesteśmy z tego innego miotu.

–I tak bez tego dziś łatwo o halucynację – skomentowała.

Pokiwałem znacząco głową, w pełni z nią się zgadzając. Bo gdy człowiek popatrzy na to wszystko, co go otacza i jakie gwiazdory marzenia ludziom rozdają, to może z zamkniętymi oczami żywcem iść do nieba albo od razu do piekła. Zresztą nie skłamię, gdy powiem, że sam wiele razy łapałem się w sieci tandetnej podróby –rzeczywistości, czy też wpadałem na jednego głębszego do krainy upadłej, gdzie jest zabronione zabraniać czegokolwiek.

– No, dobra, Teresa, opowiadaj dalej.

– Miałam właśnie wchodzić do gabinetu i wówczas, eureka! Myśl genialna mnie urzekła – jedź po prostu do BOBROWNIK. Tam znajdziesz rozwiązanie, jedź szybko. Obróciłam się na pięcie i pobiegłam na pieszo na dworzec, by złapać pierwszy lepszy autobus do Bobrownik.

Na chwilę przerwała, by pociągnąć porządny łyk kawy i zapalić papierosa. Zaciągnęła się ze trzy razy, może więcej delektując się dymkiem i ruszyła dalej.

– Kiedy dotarłam na dworzec, jakiś nieznajomy facet powiedział mi: „Dzień dobry! Autobus na panią czeka.” No, niby nic takiego, ale jednak – skąd wiedział? No skąd?

Przerwała na chwilą mówić, by spojrzeć na mnie. Wydawało mi się, że jej spojrzenie jest jakieś takie zagadkowe. Lekko przy tym się uśmiechała. Zaczęła mówić dalej.

– No i faktycznie czekał, a po nieznajomym ślad przepadł, jakby się rozplynął w powietrzu. Zajechałam na miejsce, sama nawet nie wiem kiedy. Od razu skierowałam się w stronę domu mamy.

Uszłam, ja wiem, może trzysta metrów, gdy ni stąd ni zowąd pojawił się na mojej drodze starszy dziwnie ubrany człowiek, jakby z innej bajki, a po chwili następny i następny. Było ich ze trzech. Idą w moją stronę i to prosto na mnie.

– I co? – zagadnąłem.

– No, co? No, nic! Stałam w miejscu i czekam, co się będzie działo dalej.

– Niesamowite, Teresa, to, o czym ty opowiadasz. A nie bałaś się przypadkiem?

– Wiesz, powiem ci, że nie, choć sama się dziwiłam, czemu? Ja, taka strachliwa baba. To zresztą nie było nic takiego w porównaniu z tym, co dopiero miało nastąpić. Zatem proponuję, nie przerywaj, tylko słuchaj dalej.

– No ,dobra, nie przerywam, mów.

–Kiedy goście stanęli tuż, tuż przy mnie, coś dziwnego we mnie wstąpiło. Poczulałam się taka lekka jak piórko i przez chwilę wydawało mi się, że fruwanie to pikuś mały. Poruszyłam rękoma odruchowo myślą latania tchnięta i.... Kurczę, czuję, iż rzeczywiście umiem latać. Unoszę się w górę za każdym poruszeniem palców coraz wyżej i wyżej, a goście, ci dziwni przebie-rańcy, bili mi brawo, wołając za mną: „Naroście jesteś, naroście!”

Na początku byłam sztywna, bo to coś nowego i tak intrygującego, ale po jakimś czasie oswoiłam się z tą nową, no, nazwijmy, „przypadłością” i dopiero sobie dałam upust mojej fantazji latania.

Gdzie ja nie byłam? Pod samą kopułą nieba. A jakie tańce przyszły mi do głowy? Sama byłam zaskoczona pomysłowością, o jaką siebie nigdy bym nie podejrzewała, a z chmurami też igrałam, aż dech zapiera, kiedy pomyślę! Ach! Ach! Takie były zabawne i piękne moje pierwsze chwile latania i kiedy w końcu się wyszalałam, dostrzegłam, że jestem nad Bobrownikami, nad Wisłą.

Oj! Co za piękny i przejmujący widok. Bóg wiedział, co stwarza, natchnąwszy moich przodków myślą, by właśnie w tym, a nie w innym miejscu Bobrownik nad samą Wisłą osadzić. Lasy niczym płaszcz okrywają Bobrowniki, dając ten cudowny zapach jodu, gdy tylko wiatr się zerwie. A Wisła płynie dumnie, od czasu do czasu zaczepiając krótkimi falami Ruiny zamku,

które odkąd pamiętam zawsze tam były. Tam właśnie na zamek, na jego ruiny poszybowałam, by ruin widokiem i otoczeniem upijać się.

Zrobiła głęboki oddech chyba z przejęcia, dygocąc niczym osika. Miałem wrażenie, słuchając jej, że sam się unoszę i razem z nią szybuję pod nieba skłonem. A to za sprawą plastycznych obrazów, jakie przede mną odmalowała. W jej opowieści było to coś ... autentyczność przekazu. Dlaczego nie mogłoby to być prawdziwe, no właśnie, dlaczego?

Od tej chwili już nie zamierzałem jej przerywać, bo ciekawość rozpałała mnie okrutnie. Za to cichutko, cichutko szepnąłem (ledwo sam usłyszałem własne słowa):

– Opowiadaj, opowiadaj dalej, dalej, Tereso.

Ośmielona i pewniejsza moim przyjęciem opowiadała dalej, a ja niczym gąbka wszystko wchłaniałem, każde jej słowo i słów potok. W końcu miałem wrażenie, iż razem z nią uczestniczę w tej niecodziennej podróży.

– Gdy tak nad Rujnami zamku fruwałam niczym ptak, zobaczyłam, jak nagle mgła się gromadzi, choć słoneczko świeci.

Mgła nachodziła od strony Wisły cicho i bezgłośnie, z każdą chwilą gęstniejąc, spowijając wszystko, co tylko napotka na swojej drodze.

Długo nawet nie trwało, a cały zamek został spowity. Nie było nic widać, choćby na centymetr. Mogę coś o tym powiedzieć, bo szybowałam, rozkoszując się jego widokiem.